ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK V POZNAŃ LUTY 1935 NR. 2 (41)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

ADAM CHARKIEWICZ:

GARŚĆ WSPOMNIEŃ O REYMONCIE

Minął już szereg lat od śmierci śp. Reymonta, szereg przeżyć mniej lub więcej ciężkich, raczej smutnych niż wesołych, przewaliły się masy szarych wrażeń życia codziennego, a postać jego rysuje się w mojej pamięci żywo i barwnie i widzę go takiem, jakim był dla mnie za życia — szczerym, otwartym, niezwykle życzliwym i drogim.

Wielki duch naszego piewcy ludu i ziemi polskiej upodobał sobie skromną i kruchą postać śp. Reymonta. Wzrostu średniego, zawsze wyprostowany, z głową podniesioną i zwichrzoną czupryną — oczach bystro patrzących — wyraz ogromnej słodyczy, na ustach lekko rozchylonych — bolesny smętek. Chód spokojny, zato nerwowy ruch ku włosom, które lubiał często zatargać rękoma.

Takim poznałem Reymonta na zebraniu w r. 1921. Zajęty byłem wówczas jakąś ważną rozmową z kilkoma panami — wymiana zdań była bardzo żywa, a przedmiot interesujący. Naraz czułem, że ktoś wpatruje się we mnie od chwili już dłuższej. Nie przerywając dyskusji rozglądnąłem się i spostrzegłem zaraz obok naszej grupki, kilku obcych mi jeszcze panów, a między nimi wpatrzonego we mnie Reymonta, którego znałem tylko z portretów. Zakończyłem szybko rozmowę, a w tym momencie zbliżył się do mnie Reymont, uścisnął mi serdecznie ręce i powiedział: „Wie Pan — to może dziwne, ale jakkolwiek dopiero się poznajemy — a już czuję, że będziemy przyjaciółmi — prawda?“ Ogarnęło mnie nieznane uczucie; zdałem sobie sprawę, że stoję przed wielkim człowiekiem, wielkim znawcą serc ludzkich, a zarazem uczułem, że wzrok jego otwiera



Kazimierz Brzęczkowski *„Zima“ drzeworyt*

całą głębię duszy szczerej i bezinteresownej. I rzecz dziwna — człowiek ten pytał mnie często później o radę i różne informacje, ale nigdy niemiał do mnie, jako ówczesnego szefa powiatu, żadnej osobistej prośby, żadnego mniej — czy więcej słusznego żądania.

Stosunki między nami ułożyły się odrazu szczere i serdeczne. Gdy tylko zjawiał się w Kołaczkowie, zaraz donosił mi o tem i prosił o odwiedzenie go, sam rzadziej do nas zaglądał, a już przyjęć oficjalnych unikał jak ognia, mówiąc do mnie często, że niecierpi „wystawy ludzi“. Poza osobami z szerokiego świata, które od czasu do czasu odwiedzały Reymonta, z powiatu zjeżdżali do Kołaczkowa najczęściej najbliższa sąsiadka, pani prezydentowa Zychlińska i pan Franciszek Czapski z Barda, do których to gości odnosił się Reymont z wielkim szacunkiem i zaufaniem.

Kołaczkowo stało się ośrodkiem myśli jego, mówił o niem ciągle i przemyśliwał nad tem, jakie poczynić ma zmiany, ulepszenia, no i o rozszerzeniu swej własności przez dokupienie ziemi. Marzenia te z postępem czasu i cierpienia, stawały się coraz dalsze, coraz mniej realne, coraz rzadziej i smętniej o nich wspominał, widocznie przestał dowierzać siłom swoim nadwątlonym postępem choroby. Do Kołaczkowa wzywał zwykle D-ra Krzyżagórskiego z Wrześni, którego leczeniu poddawał się z wiarą, ufnością i zwykłą u siebie cierpliwością.

Z wiosną 1923 r. czuł się Reymont źle i donosi mi o tem w liście z 27 maja: „Jadę do Poznania i zamiast przyjmować Prezydenta, tak się dziwnie złożyło, że jadę do Pyrmont do Niemiec leczyć się. Postanowiłem: albo — albo! Zdechnę lub się jakoś podleczę, bo mi już życie zbrzydło! Jadę na miesiąc...“

Decyzję swoją jednak zmienił, gdyż już 7 czerwca pisze do mnie: „Chory jestem i leczę się w zakładzie D-ra Janty-Połczyńskiego ...gdyby Szan. Pan był w Poznaniu i zechciał odwiedzić chorego, byłbym niewymownie wdzięczny".

Bezzwłocznie udałem się do Poznania. Chory ucieszył się mną bardzo i wypytywał drobiazgowo o pobyt Prezydenta Rzp. we Wrześni, o sąsiadów, no i o Kołaczkowo, do którego tęsknił ogromnie.

Już to prawdę mówiąc, miał Reymont niemało kłopotów z tym swojem kochanem Kołaczkowem i to od chwili nabycia. Ciągłe utarczki z urzędem ziemskim i komisarzem tegoż urzędu, kłopoty związane z dzierżawą i wiele innych spraw, może drobnych, ale dokuczliwych, drażniących chorego, o czem żalił się przedemną niejednokrotnie w listach, a widząc się ze mną narzekał na brak dobrej woli u ludzi, z którymi chciałby każdą sprawę zgodnie i cicho załatwić. Gdy zjawiała się jakaś komisja sądowa lub urzędu ziemskiego, donosił mi stale: „...będę zatem miał ciepły i prawdopodobnie bardzo kosztowny dzień, ale rad jestem, że się to nareszcie kończy." Ale niestety, nie kończyło się i miał stale na co się żalić, jednak sprawy te nie pozbawiały go wrodzonej pogody duszy i nieraz machnął ręką i mawiał: „Trudno — — ale zato patrz jaka tu cisza i tyle słońca, kwiatów, tu jednak jest rozkoszny zakątek."

I kochał dalej swoje Kołaczkowo, chodził ze mną po ogrodzie, zachwycał się pięknem kwiatów, studjował rozwijanie się kolejne pączków ulubionych róż, wdychiwał zapach „swojej" ziemi i mawiał mi często: „Gdybym niebył zmuszony szukać zdrowia za granicą — nigdy nie opuściłbym mojego Kołaczkowa".

Innego zdania jednak była Pani Aurelja, — nie lubiała tej letniej siedziby i ciszy wiejskiej, drżała nieustannie o zdrowie męża i uważała, że tylko stały pobyt na południu może podtrzymać słabe zdrowie jego.

Reymont niezwykle wrażliwy i uczuciowy, przejmował się łatwo każdym należnym mu hołdem i objawem uczuć otaczających go osób. W tych warunkach nadanie mu w r. 1924 nagrody Nobla, odbiło się silnie na słabym organiźmie. Gdy go odwiedziłem już w pewien czas po otrzymaniu tego odznaczenia, w rozmowie na ten temat, wyczułem u niego jakiś ukryty żal, a zapytany o powód, skarżył się, że niestety w Polsce znalazły dzieła jego daleko mniej zrozumienia, niż się tego spodziewał, natomiast za granicą a zwłaszcza we Francji znalazł u kolegów swoich tyle serca, że był bardzo zdziwiony tym objawem i mocno wzruszony. Pozatem czuł się gorzej niż zwykle.

W czerwcu 1925 r. wręczyła delegacja sejmiku wrzesińskiego swemu wielkiemu i sławnemu obywatelowi adres nadający mu honorowe obywatelstwo powiatu. Ze względu na stan zdrowia jubilata miało wręczenie przebieg bardzo skromny. Gdy przybyłem do Kołaczkowa wraz z p. Fr. Czapskim, p. apt. Koniecznym i innymi delegatami, zbliżyła się do mnie Pani Reymontowa i prosiła gorąco o skrócenie samego aktu wręczenia, bo gospodarz nasz kochany już samą wiadomością o naszych zamiarach, bardzo głęboko był wzruszony. Wobec tego tylko kilka serdecznych zdań skleiłem na prędce, na które Reymont odpowiedział skromnie i szczerze dziękował za nadane mu obywatelstwo honorowe powiatu, którego patrjotyzm w historji dziejów Polski winien być zapisany.

Stanem zdrowia drogiego naszego jubilata byłem mocno zaniepokojony, a gdy w dni kilka później odwiedziłem go znowu, zastałem delegację zapraszającą go na dożynki i przyjęcie hołdu w Wierzchosławicach. Wszyscy sprzeciwialiśmy się temu wyjazdowi — ale nadarmo, bo postanowił pojechać.

Po powrocie raz tylko było mi jeszcze danem zobaczyć tę świetlaną postać i uosobienie słodyczy i spokoju. Cieszył się swoim sukcesem i mówił mi, że: „nie żal umrzeć, gdy się przeżyło to co ja przeżyłem — Tobie Polsko!" Przy pożegnaniu prosił mnie jeszcze, bym zaglądał do Kołaczkowa i pamiętał o jego różach.

A potem — przyszła w jesieni straszna wieść o śmierci!

Byłem jeszcze raz w Kołaczkowie u Pani Reymontowej w pół roku później, ale na widok tych znanych mi kątów, z których wyłaniały się wspomnienia chwil bezpowrotnie minionych, chwil pełnych ducha nieśmiertelnego piewcy naszej polskiej ziemi i jej cudów, — opuściłem ten ukochany przez Reymonta przybytek — by nigdy doń nie wrócić.

Wycinki, 20. I. 1935 r.

ALFRED JESIONOWSKI:

BIBLJOTEKA JANA KUGLINA

„... nieraz uznojony całodzienną pracą — stawałem o półmroku wieczornej lub nocnej ciszy pośród zamarłych sprzętów, regałów, kaszt i śpiących chochlików drukarskich — i pieszcząc czcionkę po czcionce — układałem je w materjalną formę ... myśli — —

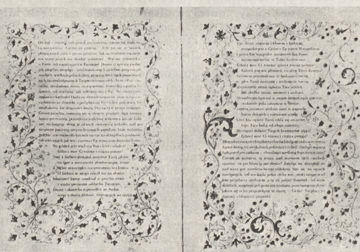
— — starałem się wyszukać co najszlachetniejsze czcionki nawet pomiędzy francuskiemi, holenderskiemi i włoskiemi — chcąc myśli... przyoblec w najpiękniejszą formę typograficzną — : — lecz czy mógłbym bezmiar Twej miłości ku ziemi ojczystej oddać znakiem typograficznym obcym? —

— — Z tą wątpliwością zwierzyłem się Stanisławowi Jeżyńskiemu z Warszawy, który, odziedziczywszy po ojcu troskę o czcionkę w Polsce — niejednego już w dziedzinie czcionkarstwa dokonał szlachetnego wysiłku: — ten to odlewacz czcionek — zrozumiawszy moją intencję — podjął się ogromnego trudu jakiego w Polsce dotąd nikt nie dokonał — : oto poleciwszy w swoim zakładzie wyrysować litery i znaki alfabetu polskiego według własnego projektu — odbiegającego od form codziennie spotykanych, a przez sąsiadów tak chętnie nam dostarczanych — każdy z znaków wyciął jako stempel w hartownej stali, stemplami w płytkach koprowych wytłoczył matryce każdej literki, a z matryc odlał zasób użytych w niniejszej książce czcionek — czcionkę tę — jako pierwszą oryginalną polską — nazwałem ku upamiętnieniu trudu Jeżyńskiego: antykwą Jeżyńskiego". (Z przedmowy Kuglina do „Powsinogów" Zegadłowicza).

Zacytowany ustęp tłomaczy nam w plastyczny sposób dwie ważne cechy twórczości artystycznej Kuglina — typografa: kult piękna połączony z umiłowaniem swojszczyzny wszechstronność w pojmowaniu swego zadania twórcy pięknej książki przez kontakt żywy i bezpośredni nietylko z twórcą pięknego słowa, ale i z wszystkimi tymi twórcami, którzy w jakikolwiek sposób mogą się przyczynić do podniesienia piękna drukowanego słowa: z malarzem artystą, z twórcą-odlewaczem. Jest to zagadnienie dla siebie — dlatego bliżej w tym szkicu o tem mówić nie będę — chciałem poprostu zaznaczyć te dwie cechy dla ułatwienia zrozumienia powstania Bibljoteki Jana Kuglina.

Aby zgóry usunąć ewentualne nieporozumienie: *Bibljoteka Jana Kuglina niema nic wspólnego z Bibljoteką Studwudziestu ani z jakiemkolwiek wydawnictwem sprzedażnem Drukarni Rolniczej, której Kuglin jest*

dyrektorem. Stanowi ona wydawnictwo prywatne, nie jest do nabycia, ukazuje się z specjalnych okazyj tylko w 30 egzemplarzach formatu 21 na 30 na czerpanym papierze, przyczem rzadko kiedy jeden egzemplarz podobny jest całkowicie do drugiego. Układ graficzny danego tomu jest oczywiście jednaki dla tych 30 egzemplarzy, składa i tłoczy je przeważnie Kuglin sam, aby stworzyć coś skończenie pięknego, aby dać upust swemu natchnieniu artystycznemu, aby osobiście i całkowicie przyczynić się do uświetnienia czegoś czy kogoś. Różnica w poszczególnych egzemplarzach danego utworu polega na ozdobieniu egzemplarza. Weźmy dla przykładu Kasprowicza: Moja Pieśń Wieczorna. Druk tego przepięknego hymnu wykonał Kuglin w swoim własnym układzie ku upamiętnieniu przeniesienia zwłok do Harendy. Załączone fotografje stronnic „Pieśni" dają najlepsze pojęcie o oryginalności tego wydawnictwa. Są więc egzemplarze „Pieśni" — które posiadają jako jedyną ozdobę złotem tłoczony inicjał „O" na pierwszej stronnicy, inne mają poza złoconem inicjałem „O" zdobienia wewnętrzne inicjału motywem kwiatowym, inne mają całą pierwszą stronnicę zdobną w motywy ludowe, znów inne są całkowicie zdobione i to poszczególne egzemplarze przez różnych artystów wsposób oczywiście odrębny, zależnie od tego jak który artysta odczuł tekst Kasprowicza. Reprodukcje, jakie zamieszczamy dają tylko blade odbicie rzeczywistości. Oglądałem najpiękniejsze egzemplarze u Kuglina w mieszkaniu z wypiekami na twarzy, ręce latały mi z wzruszenia nad nagromadzeniem tyle piękna w jednej książce. Myślę, że za kradzież takiego egzemplarza uniewinniłby sąd każdego miłośnika piękna. — A teraz niezwykły układ, odbiegający od układu Kasprowiczowego Hymnu „Moja Pieśń Wieczorna" napisany jest białym wierszem (Zbiór: Ginącemu Swiatu) w oryginale. Wiersze różnogłoskowe — jak wiadomo. W momentach specjalnie silnego napięcia posługuje się poeta rymem. Kuglin — wielbiciel linji klasycznej, patrzący na kolumnę druku, na kolumnę marmurową greckiej świątyni, uwiedziony cudownie klasycznem pięknem wspaniałego Hymnu — chciał mu nadać także kształt klasyczny — nie mogąc się pogodzić postrzępioną linją oryginału — zachowujc tylko rymowane wiersze w układzie oryginału. Można być różnego zdania co do tego, czy sam twórca hymnu byłby pochwalił układ taki, czy byłby się zgodził na takie przekształcenie swego układu. Ale nie pomawiajmy typografa o brak pietyzmu — przeciwnie — zechcijmy widzieć w tem hołd specjalny i oryginalny złożony wielkiej myśli poetyckiej, cieniom wielkiego Pieśniarza z nad Gopła. Wpatrując się w ten zupełnie odrębny układ Hymnu — zrozumiemy i intencję typografa, i jego założenie artystyczne. Piękna romańska czcionka w układzie klasycznej kolumny — wywiera jednak urok niezwykły. Wysoki artyzm pierwszego tomu Bibljoteki Jana Kuglina — niechaj usprawiedliwi ten szeroki mój wywód.



Jako dalsze tomy Bibljoteki Jana Kuglina ukazały się Zegadłowicza: „Duma o obronie Sigetu" (ku upamiętnieniu jugosłowiańskich świąt narodowych), i tego samego autora: Budziejowickie Łąki, następnie Mihaila Eminescu: Cesarz i Proletarjusz (tłom. Zegadłowicz) a zupełnie świeżo, bo przed kilkoma zaledwie tygodniami, Janty - Połczyńskiego: „Wielki Wóz". Tom ten zasługuje na szczególną uwagę. Że Janta-Połczyński jest poetą, o tem wiemy nietylko z dotąd ogłoszonych zbiorków poezyj, które w numerze poprzednim „Wici omówił Dr. Piechocki — ale także z jego książek podróżniczych swem lirycznem ujęciem najbardziej prozaicznych zjawisk spotykanych na dalekich podróżach. Otóż *„Wielki wóz"* — jest poetyczną esencją wrażeń i refleksyj z odbytych wypraw po dalekim świecie. Uderza nadzwyczajna dojrzałość myśli, umiejętność chwytania istotnych cech charakterystycznych spotkanych osobliwości, wrażliwość nie tyle wizualna ile uczuciowa. Nad całym zbiorem dominuje uczucie tęsknoty... nie tylko tęsknoty za dalszą wędrówką po nieznanych szlakach, wędrówką, która przynosi wciąż nowe niespodzianki, koi niepokój duszy, który nie pozwala wytrwać na miejscu, ale tęsknota metafizyczna za jakiemś przeżyciem a raczej objawieniem psychicznem, któreby wniosło ciszę i ukojenie w niespokojną duszę, bezradnie tłuczące się serce:

„W sercach wieczny niepokój nam drzemie.
Nie czekają nas
w żadnej przystani.
W świat szeroki
niesie wiatr ochota
Sny wypełnić,
jak młodość uparte.

Póki jeszcze życie
w dal otwarte,
Zanim kiedyś
nie ucichną burze,
Gdy zmęczenia
przyciszy je brzemię —
I ostatnia
nie zgaśnie tęsknota,
Prowadząc w bezmiar
i podróże —

Wtedy wieczór
w dalekiej purpurze
Położy przed nami ziemię.

(Morski Poemat)

Spospolitowanemu współczuciu (rzecz dziś tak modna — bo tania) przywrócił poeta jego wartość i znaczenie, zdobywając się na szczere i piękne akcenty nie ckliwego, ale męskiego, prawdziwie człowieczego współczucia dla cudzej niedoli:

Brudni, smutni, obdarci chłopcy.
Żebracy z pokorą psów.
Bełkocą, patrzą z podełba,
Nie umieją najprostszych słów.

Zaczepieni ręką o poręcze,
Stojąc nocą na osiach buforów,
Wsłuchują się tak samo jak ja
W rytm i melodje torów.

I tak samo jak ja, dobrze wiedzą
Jak ogromnie taka droga nuży,
Droga w bezkres, droga w świat, bez celu
Towarzysze mojej podróży.

(Towarzysze mojej podróży*)

Szczerość, młodość — i ta tęsknota za spokojem — wyrażająca się w ustawicznym ruchu, w nieustannem dążeniu: wciąż dalej, wciąż naprzód — to główne i najbardziej ujmujące akcenty tego ciekawego zbiorku wierszy z podróży, myśli o dalekim świecie, myśli intymnych. Nie dziwię się, że Kuglin zapragnął mieć je w swej prywatnej Bibljotece.

Piękna tej książki treść — ale nie mniej piękna jej szata. Lecz co tu o tem gadać, to trzeba widzieć. Chciałbym Kuglina namówić, by urządził kiedyś w Pałacu Działyńskich wystawę swoich prac.. ale także prywatnych... i także oprawnych. Podejmę się wygłoszenia odczytu o Kuglinie — typografie. A po odczycie, dyskusji, oglądaniu

*) Wiersz ten ukazał się po raz pierwszy w druku w Wiciach Wielkopolskich.

pięknoości — kto żyw, niech nabywa, co nabyć można. Będzie miał trwałą i piękną pamiątkę po wystawie pięknej książki. Hallo! Panie Prezesie Z.Z.L. — ...apel także pod Pańskim adresem!!

POBYT ST. PRZYBYSZEWSKIEGO NA PAŁUKACH W R. 1892

Opuściwszy w r. 1889 Wągrówiec, przebywał Przybyszewski już trzy lata w Berlinie. Nie jest stwierdzonem, czy w okresie tym zawitał do Łojewa, które w r. 1891 opuścili byli już jego rodzice, przenosząc się na stałe do rodzinnego miasta ojca poety, do Wągrówca. Po długiej korespondencji udało się wreszcie emerytowi nakłonić Stanisława do przyjazdu do miasta, w którem w lutym 1889 zdał był maturę. Zachował się list Józefa Przybyszewskiego, pisany po wyjeździe syna spowrotem do Berlina. Kreśli on nieźle sytuację życiową Stanisława, podówczas redaktora „Gazety Robotniczej" w Berlinie, autora głośnych utworów o Chopinie, Nietzschem i Oli Hanssonie, przygotowującego właśnie do druku wspaniałą rapsodję „Requiem aeternam".

List, skierowany do p Kazimierza Habera, właściciela Łojewa i szkolnego kolegi Stanisława, kreśli równocześnie obraz wielkopolskiego życia małomiasteczkowego w epoce najwyższego ucisku pruskiego Przynosi również w przypisie słowa zacnej p. Doroty, matki Stanisława, tęskniącej jeszcze do Gopła i Łojewa. Nie wspomina za to ani słowem o życiu rodzinnem Stanisława, o którem rodzice nie byli dotąd przez niego ani nikogo powiadomieni. Listu dostarczył mi p. Marjan Haber z Kołdrąbia, właściciel bogatej kolekcji autografów, któremu na tem miejscu składam podziękowanie.

Stanisław Helszyński.

* * *

„Wągrówiec, dnia 19 Września 1892

Łaskawy Panie Kazimierzu!

Zapewne się Pan na Stacha gniewa, że się nie wybrał na parę dni do Pana, lecz przy najlepszy (!) chęci uskutecznić nie mógł tego życzenia, gdyż nawet w domu bardzo krótko bawił, gdy przyjechawszy dopiero w początku b. m. już w sobotę 17-go znów odjechał do Berlina, chociaż ferje do 15-go października trwają. Prolongacja do jego wojskowości tylko do 1-go października służy, więc poprzednio wcześnie zameldować się musi, inaczy (!) utraciłby prawo do jednorocznej służby w razie gdyby go uznali zdatnym do wojska lub 3 lata służyćby potem musiał, a teraz tylko pół rokuby odsługiwał, a drugie pół dopiero gdy ukończy już jako płatny lekarzby służył. Lepiejby było, gdyby go wcale nie uznali dosyć zdrowym i zwolnili całkiem, bo nie wiem, jak on to wszystko wykona przy tak krytycznych finansach i tyle umysłowy (!) pracy. W domu te pare dni mało miał rozrywki, bo choć odłożył swoją prace, chciał nieco wypocząć, nasyłali mu ciągle: doktorzy, autorzy, literaci i *wie ich kto oni* i niemcy i polacy swoje gryzmoły do korektury i przeinaczania ich nędznych utworów.

Niedość, że go codziennie listami obdarzali, ale nawet telegramem do Berlina wzywali i dla tego parę dni wcześniej wyjechał. Tu w Wągrówcu też nie miał od kolegów spokoju, nachodzili go ciągle, a bawiło ich kółko przeważnie stud. medycyny, dwóch już skończonych, ale dopiero kandydatów, a 6 spółczesnych Stacha kolegów. Jakkolwiek żal nam, że tak krótko w domu bawił, to znów radzi jesteśmy, że nie mamy teraz tyle natrętnych w domu gości i prawie lepiej, że Staś w Berlinie swoim trybem pracuje, dopóki mu zdrowia i sił starczy. Choć matka bardzo się troszczy i dla tego on jak może pociesza i uspokaja nas, choć nie tak pomyślnie mu się wiedzie, bo walczy z biedą o byt materjalny i egzystencję dalszą, a to nie łatwo utrzymać się w Berlinie bez pieniędzy i pomocy z domu.

My dzięki Bogu przy zdrowiu jesteśmy, o cholerze u nas ani w okolicy niema trwogi i może też przy obecnej porze i zdrowem powietrzu to choróbsko się nie pojawi w naszych stronach. Ludzie tu bawią się wciąż niby weseli i jakoś szczęśliwi, choć niejednemu bieda dokucza, to wódka troski zalewa, co niedziele wycieczki do lasu, zawsze różne Vereiny patrjotyczne, to landwery, Feuerwery, strzelcy, turnierzy, śpiewacy, przemysłowcy itp. swoje hece wyprawiają i hulają. Trzy dni było tu wojsko rozlokowane, piechota, dragani (!) i artylerja, więc wiele rozhoworu, koncerta i pijatyka, a spacery marmozelów z żołnierzami, zostało dużo po nich: *denkst du daran.* W piątek 16-go wymaszerowali i odbyli ćwiczenie pod Łeknem, 1 mila od W., gdzie także mieli przez noc w polu biwak, z jakie 100 fór (!) słomy i drzewa z Wągrowca w tym celu za wojskiem prowadzono. Dużo z W. pojechało i pieszo poszło tam gości temu widowisku się przypatrywać i ja także musiałem kuzynkom towarzyszyć i zajmowały dosyć ćwiczenia i ruchy wojska, oraz chuk (!) armat i biwak, zawsze to coś nowego. Januchowski (brat przyrodni Józefa Przybyszewskiego) miał 16 żołnierzy prostych i jednorocznego na kwaterze, młody budowniczy rodak z Bydgoszczy, wyrzekał bardzo na psią służbę przy wojsku. Ale też prawdziwie trezura (!) ludzi. W środę przybyli tu w południe o 2 z Kcyni 4 mile marszu, a już nazajutrz o 5-tej rano musieli na ćwiczenia do Elsenau (Damasławek), zrobili 4 kilometry, to też jak wrócili, to kilku na ulicy zmęczeni padli, że ich lekarze ratować musieli, a na drugi dzień znów zaraz wymarsz do Łekna i manewrowanie. Obecnie ćwiczą pod Zninem w Gorzycach, gdzie nawet cesarz spodziewany przybyć. Czas na siewy obecnie wyborny, to też krzątają się rolnicy, tak samo pewno i w Kujawach, tam zaś więcej jeszcze roboty przy sprzęcie buraków, których tu w bliskości nie chodują (!), więc prędzej się z zasiewami ułatwić mogą. Przesyłając uprzejme ukłony od braterstwa (Januchowskich) z Adamów, także od Leosia, pozdrawiamy wraz z żoną mile i życzemy zdrowia i zawsze dobrego powodzenia.

Szczerze przywiązany i życzliwy przyjaciel Przybyszewski."

Rozpisał się był poczciwy emeryt, dumny z syna, wpatrzony i wsłuchany w gwar miasta nad Wełną, pilnie obserwujący życie i ruchy Prusaków. Maczkiem ściśniętemi szeregami, prowadził rzecz swą nieczytelnie, niewyraźnie, że aż dziw, jak ten wioskowy na Kujawach pisarz podań chłopskich mógł tak niedołężnie bazgrać. Obraz życia miasteczkowego umieścił na 3 zaledwie stronach: na czwartej dopisała się pani Dorota.

„Łaskawy Panie Kazimierzu!

Również i ja kilka słów do listu męża dołączam, pozwalając sobie zwrócić Panu Kazimierzowi uwagę, że nie jest łaskaw listu napisać i donieść swoim starym i życzliwym przyjaciołom, jak zdrowie służy i powodzenie sprzyja. Ja jeszcze do Wągrówca dotychczas przyzwyczaić się nie mogę i Łojewo wciąż mi w głowie pokutuje. Jeżeli mi się sposobność nadarzy jechania do Kujaw, pozwolę sobie Pana Kazimierza odwiedzić. Spodziewając się od p. Kazimierza wiadomości rychłej, przesyłam serdeczne pozdrowienie i kreślę się z prawdziwą przyjaźnią i życzliwością

D. Przybyszewska.

Naszym wszystkim znajomym w Łojewie miłe pozdrowienie łączę".



ROMUALD BOGACZYK *„DRZEWA" Linoryt oryginalny*

(Plansza wyjęta z przygotowanej do druku „Teki graficznej" — utalentowanego grafika wielkopolskiego, ucznia prof. Jana Wronieckiego.)

ALFONS SZYPERSKI:

JAK POWSTAŁY GARBARY, PIEKARY, RYBAKI ITD.

Odwalmy tysiącletni głaz czasu i popatrzmy na naszą ziemię Równin. Mokradła, knieje, puszcze, tonie jeziorne, jary, brody, ostrowy — zaszyte w lasach osady, ospałe wioszczyny i wartkie wody — szlaki komunikazyjne, tak ważne, jak dzisiejsze równe białe szosy,

Bujniejsza fala życia płynie w grodach Polan poznańskich: w Kostrzynie, Rogoźnie, w Gieczu pod Srodą, w Biechowie wrzesińskiem.

Ale trudny do nich dostęp: odwieczne bagnisko, jeśli nie rzeka, zdradzieckie zasieki, dalej przykopy, wał, ostrokół, słowem przemyślnie utajone fortyfikacje, miejsca warowne.

Conajmniej każdy powiat piastowski miał swój gród, który chronił okoliczną ludność w czasie zawieruch orężnych lub napadów rozbójniczych.

Wewnątrz takiego miejsca ogrodzonego wałem budowano zamek zrazu drewniany, później, od wieku XIV, murowany, jeśli zachodziła dalsza potrzeba obrony. Rezydował w nim zwykle książę z rycerstwem albo urzędnik książęcy, nazywany później kasztelanem i starostą. Przy warowniach odbywały się targi, tu zakładano pierwsze miasta, które my dlatego do dziś, ale raczej w uroczystej przenośni grodami mianujemy. Na o — grodach (czyli dokoła grodów) tworzyły się różne osady wolnych, służby albo jeńców. Ludność podgrodzia była obarczona obowiązkiem wykonywania różnych zajęć np. hodowania pszczół, koni, bydła, owiec albo wyrabiania pewnych przedmiotów np. naczyń na płyny, sań, kobierców. W ten sposób powstawały tak zwane osady przemysłowe i służebne, niekoniecznie w pobliżu grodów, ale także blisko klasztorów, katedr biskupich i innych ważnych ośrodków ludzkich. Pierwotnie ludność tych osad pracowała wyłącznie dla dworu książęcego, później mogli to już być osadnicy samodzielni, fabrykujący rzeczy przeznaczone wogóle na sprzedaż (np. Garbary).

Otóż tak np. człowiek wyrabiający naczynia na płyny czyli *łagwie* nazywał się łagiewnikiem, w starej liczbie mnogiej *łagiewniki*, dziś *łagiewnicy*. Zczasem nazwę gromady ludzi „łagiewników" przeniesiono na samą miejscowość, gdzie ci rzemieślnicy mieszkali. *Skotniki* oznaczają hodowców skotu, stąd też słowo skotarz, czyli pasterz bydła. Liczne *Sokolniki* stanowiły osady ludzi pilnujących sokołów myśliwskich, *Mączniki* czyli młynarze, *Duszniki* były osadą ludzi służebnych, darowaną kościołowi jako legat zaduszny. *Kobylniki* hodowali źrebięta, a *Koniary* to słudzy przy koniach książęcych. Rozumiemy tedy *Oborniki, Sanniki, Owczary, Bednary* i im podobne.

Choćby znikły w nocy niepamięci nasze stare kasztele, odgrzebalibyśmy je spod gruzów śladami właśnie tej kategorji nazw geograficznych. Nazwy bowiem są trwalsze nad pomniki pisane i murowane i świecą często jak samotne lampki grobowe w mrokach wczesnych dziejów narodowych. Przepadły na zawsze dawne grody warowne w Poznaniu, Gnieźnie, Żninie, nielitościwy człowiek przeorywa za dni naszych fundamenty kasztelanji biechowskiej pod Wrześnią, pochyliły się ze starości zdala widoczne wały grodowe w Gieczu, zamykające teraz cmentarz i ogród proboszczowski. Czcijmy te cenne pomniki — szczątki pracy naszych przodków i ciekawe źródła wiadomości o pierwszych wiekach naszego bytu państwowego.

Dawny gród książęcy w Poznaniu tworzył dzisiejszy Ostrów Tumski, będący niegdyś wyspą między Starą Rzeką i Cybiną. Tu znajdował się dwór Mieszka, obok wyrosła siedziba pierwszego biskupa w Polsce, dalej wznosił się tum, kościół Panny Marji i kościół św. Mikołaja. W grodzie mieściły się zapewne jeszcze dworki rycerskie i składnice kupieckie, a na wschodnich podgrodziach, na Ostrówku i Śródce rozsiadła się

MARJAN TURWID:

SŁOWA NA PALECIE

WIERSZ WSTĘPNY

Zamknięty
w pracowni cztery niskie ściany
jak w niedołęstwo zamknięty człowieka — — —
mistrzu malarski daleki — nieznany —
spoglądasz z głębin umarłego wieka
jak święty.

Strzęp płótna kurzem okryty i brudem —
obraz niezdarny rysunkiem i plamą
jakimże cudem,
jest rozchyloną twej legendy bramą?

Długo mi bramy te były zamknięte —
ze zbytnim chciałem je minąć pośpiechem —
kluczam nie szukał — a nawet — pamiętam
rzuciłem w obraz kamieniem litości,
jak piaskiem — wzgardy rzuciłem nań śmiechem:
: — — przecież człowiecze by objawić wnętrze
wystarczy
linje, ułożyć najprościej
albo
barw kilka przetopić na tęczę. — — —
Czy ci do tego Mistrzu stary celu
nie wystarczyła plam i form wymowa? —
żeś Świętym Pańskim na twych płótnach wielu
od warg w kształt trąbek wypisywał SŁOWA.
Czyliż — człowiecze by rozerwać wnętrze,
aż do słów trzeba uciekać pomocy? —
Tak jasno przecież uczucia najświętsze
świecą jasnemi oczami wśród nocy...

ludność tworząca najdawniejszy Poznań.

Lewobrzeżne tereny Warty nie były zrazu tak gęsto zasiedlone jak prawe, rozciągały się tu duże pola usiane wsiami i przysiołkami, a szczególnie osadami służebnemi, które dostarczały dworowi, a później zapewne i duchowieństwu, rzeczy potrzebne do życia. Na osadę przemysłową, osadę nowszą, wskazują nam dzisiejsze *Garbary,* czyli *garbarze,* uwiecznieni także w nazwie przedmieścia Jarosławia i Przemyśla, *Piekary* czyli *Piekarze* powtarzają się kilkanaście razy w całej Polsce, *Rybaki,* zwani także *Rybitwami* zajmowali się rybołóstwem, obowiązkiem *Winiar,* później mawiano *Winiarów* czyli Winiarzy była uprawa winnic pańskich. Rolników, oraczy zwano dawniej *ratajami,* wyraz pokrewny ze słowem radło, radlić. Ponieważ orano ziemię wołami, do dziś *rataj* oznacza w mowie ludu, wołowego oracza. Przezwisko więc: ty rataju, tak samo jak ty gburze znaczyło pierwotnie: ty rolniku! *Czapniki* mieszkały gdzie dziś Zielone Ogródki.

W dalszej okolicy Poznania byli osiedleni sokolnicy, po staremu *Sokolniki,* którzy dostarczali sokołów do polowania, *Kobylniki* utrzymywały stadninę pańską, w *Psarskiem* i w *Psarach* chowano psy myśliwskie w *Szczytnikach* wyrabiano tarcze czyli szczyty dla wojów. *Szczycić się* znaczyło dawniej bronić się. *Złotniki* to starodawni jubilerzy, a *Gądki*-grajki, muzykusy nadworne; ich *gędźba* czyli muzyka rozweselała dworzan. *Gąść* znaczyło grać.

W dorzeczu Warty mamy jeszcze nazwy tego typu jak: *Cieśle, Jatniki, Kuchary, Potażniki, Smolary, Zduny* czyli garncarze, *Szewce,* i dziesiątki innych: nie wszystkie do dziś przetrwały, lecz wszystkie mówią nam o wcale bogatym przemyśle staropolskim i o rodzaju świadczeń ludności.

Dziś Garbary, Piekary, Rybaki służą jako nazwy nie najpiękniejszych wprawdzie, ale zato bardzo starych ulic Poznania. Któżby pomyślał, że leżały kiedyś poza centrum pierwotnego miasta-grodu i tworzyły już przedmieścia.

Stare zamczysko na Ostrowie książęcym w pobliżu tumu trzymało się w posadach jeszcze w wieku XIII. i może później. Rola jego polityczna zgasła jednak, gdy rezydencję książęcą przeniesiono w tym wieku do nowego zamku na nowem mieście, rozbudowanem na Podgórzu po lewym brzegu Warty. Góra się tu wznosząca, Góra Przemysława lub Zamkowa, do dziś dźwiga na swym grzbiecie stare mury kaźmierzowskie, mieszczące teraz Archiwum Państwowe. Dawny gród poznański służył odtąd wyłącznie kościołowi i administracji kościelnej.

Ileż czasu i trudu ludzkiego trzeba było, zanim z rozległej okolicy, składającej się z różnych osad, przysiołków i siedlisk ludzkich, ziem książęcych i posiadłości biskupich powstał dzisiejszy wielki Poznań!

Najdawniejsze jego dzieje możemy wyczytać także z nazw topograficznych, włączając do nich też miana ulic. Nazwy opowiedzą nam o właściwościach terenu, o jakości gleby, o bagnach i strumieniach, drzewach dawnych i zwierzętach, o pierwotnem zaludnieniu i zajęciach mieszkańców, ich wierze i obrzędach, a nawet uczuciach i poglądach. Ulubionem drzewem Słowian była lipa, ale dokoła starego Poznania rozciągały się przedewszystkiem lasy dębowe, o czem głoszą nazwy: *Dębiec, Dębina, Dąbrowa, Dąbrówka, Dębowa góra, Dębowy ostrów, Dębogóra.* Dęby więc niewątpliwie Poznańczycy ukochali i do dziś najchętniej chodzą do Dębiny.

Nie brakło pod Poznaniem bagien, błot, moczarów, dołów i łęgów, o czem mówią nazwy jak *Czapury* czyli miejsce, gdzie czaple brodzą — *Głuchebłoto* albo *Smierdząca,* bagno między Wiórkiem a Marlewem samo siebie charakteryzuje, wśród *Głuszyn* (Głuszyna) czyli pustkowi mokrych sterczały *Głuchegrądy, Mokrylas,* był pod Spławiem, a w pobliżu *Swiniebrody, Kałko* pod Górczynem, dalej *Jagnięcebłoto.* Wśród bagien roiło się od czartów i djabłów, w wądołach i na zberkach czyli *Czartoryjach* wozy łamały dyszle, *Chwaliszewo* przedstawiało za pierwszych Piastów jedno wielkie bajoro, tak że musiano tu usypać w XIII wieku Groblę, by ludziska chaty budować mogli. Indziej rozciągały się role uprawne albo też piachy i łęgi np. *Grudzieniec, Grochowe Łąki, Piaski,* leżące między kościołem bernardynów a Rybakami, którzy się rozłożyli w pobliżu *Półwsi* czyli ulicy *Półwiejskiej, Starołęka* to stara łąka a *Łęg* czyli łąki szły też ku Winiarom itd. Każde prawie miasto ma swoje *Glinki* i *Przepadki,* gdzie zimą chodzą na lód. Poznańskie *Glinki* leżały przy placu sapieżyńskim.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Po niezliczonych dniach serdecznej męki
stary mistrz — pędzle odłożył z rozpaczą.
— — — Niech bracia — mistrze cechowi, wybaczą,
że malarz — pióro wziął do drżącej ręki. —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wolałeś, Mistrzu dopuścić się zdrady
niż przed bliźnimi wnętrze swe kryć dumnie
wiedząc, że przecież wnet — milczący, blady
sam będziesz z sobą poprzez wieki w trumnie.
I przerażony tem sam-na-sam z grobem,
chciałeś się związać z przyszłych dni żywotem
hymnem genjusza, niemowy bełkotem —
każdym sposobem.
Wiedząc, że barw Twych i linij wymowa
najgłębszych tonów serca nie obwieści
potoś na obraz wypisywał słowa,
bym teraz — klucz miał do Twej, Mistrzu treści.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Po wielu wiekach, ja — najmłodszy z cechu
rozwartą mijam Twej legendy bramę ...
Pragnienia moje — to Twych tęsknot echo,
a kroki, ścieżki mijają te same.
Oto me płótno na blejtram napięte. —
Wielce jest proste przedemną zadanie:
Przetopić barwy paletą objęte,
aby serdecznem spłynęły wyznaniem. —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kamieniem na mnie nie rzućcie litości
jeśli zadania najprostszego w świecie
nie zdołam pędzlem wyrazić najprościej
i poczną — SŁOWA pisać na palecie.

Z pośród moczarów, łęczyc, palędzi czyli ugorów i ławic piaszczystych wyłaniały się wzgórza, na których chętnie stawiano zamki i kościoły, tu przedewszystkiem osiadała najdawniejsza ludnosć. Wspomnieliśmy już o Ostrowie Książęcym czyli Tumskim i Górze Zamkowej, wymieńmy jeszcze górę świętomarcińską, górę św.Wojciecha, sąsiednią *Łysą Górę* i *Muszą* albo *Muszyńską Górę*, dzisiejszy Plac Wolności. Jeżeli sobie uświadomimy, że na *Muszej Górze* mieszkali zagrodnicy, komornicy, kupcy, piekarze i rzemieślnicy w drewnianych chatach, i że tu stała cegielnia miejska, zrozumiemy co znaczy praca wieków i postęp ludzkości. Rozgłośnia Polskiego Radja a staroświecka cegielnia na Placu Wolności oto wymowne symbole czasów!

ŻYCIE KULTURALNE POZNANIA w styczniu.

Poświąteczny sezon w teatrach poznańskich — przyniósł wiele wznowień i nowości operowych, komedyj i fars. Niebrakło gościnnych występów i to wybitnych artystów, jak mezzosopranistki Heleny Sadoweń, rosyjskiej śpiewaczki oraz znanego tenora, Drabika.

Artystką nieprzeciętnej miary okazała się H. Sadoweń, śpiewaczka opery medjolańskiej La Scala oraz opery rosyjskiej w Paryżu. Śpiewała dwie partje: tytułową partję w operze Bizeta: „Carmen" oraz rolę Ammeris w „Aidzie" Verdiego. W obu partjach świetnie opracowanych pod względem aktorskim — jako śpiewaczka okazała się artystką wysokiej klasy — o głosie miękim, a doskonałej dykcji.

„Aida" Verdiego należy do najlepiej wystawionych oper w bieżącym sezonie. Cały zespół operowy święcił tutaj zasłużone triumfy — orkiestra pod dyrekcją Dyr. Latoszewskiego, pomysłowy balet Statkiewicza, doskonale brzmiące chóry, a wreszcie reżyser i dekorator. Aidę kreowała p. Cywińska, artystka o wybitnych walorach głosowych.

Z operetkowych wznowień najbardziej podobał się „Paganini" Lehara. Operetka, osnuta na tle życia króla skrzypków Paganiniego może długo utrzymać się na scenie, dzięki pięknej i melodyjnej muzyce, doskonałej grze R. Petera (Paganini) oraz pań: Majchrzakównie i Musielewskiej.

Teatr Nowy od dłuższego czasu rozśmiesza publiczność farsą Arnolda i Bacha: Hurra! — jest chłopczyk! Krotochwila to — pełna nieprawdopodobnych sytuacyj, ale pobudzająca wszystkich do śmiechu. Trzeba przyznać, że T. N. wystawił farsę tę świetnie. Wszyscy wykonawcy grali ją z werwą i humorem i wszystkim należy się najżywsza pochwała.

W Pałacu Działyńskich słyszeliśmy dwóch wybitnych prelegentów: Karola Irzykowskiego oraz Marję Kasprowiczową.

K. Irzykowski w odczycie: Psychologja puryzmu — poruszył aktualną sprawę — walki o czystość języka, wykazał błędy najczęściej spotykane, wreszcie podał szereg charakterystycznych przykładów, zaczerpniętych z mów sejmowych.

Odczyty Marji Kasprowiczowej, pozostające w ścisłym związku z hołdem, jaki obecnie składa wielkiemu poecie, J. Kasprowiczowi — Teatr Polski — wystawieniem Jego „Marchołta" — omówię w osobnym artykule — w następnym numerze.

W. Fabian.

Listy do Redakcji.

NIEUCZCIWOŚĆ CZY NIEDBALSTWO

Jakiś niefortunny streszczacz artykułu z nr. 39 „Wici" p. t. „Wiedza" o Wielkopolsce narobił w „Dzienniku Poznańskim" nr. 16 prawdziwego bigosu. „Wici" piszą: Łukaszewicz urodził się w Krąplewie a tamten przekręca: Łukaszewicz miał się urodzić w Strachach. Wici piszą o błędach w czasopiśmie pt. Ziemia — streszczacz przypisuje niedokładności Korbutowi, krzywdząc go najniesłuszniej itd. Współpracownik Dziennika nie zauważył całej drugiej kolumny górnej artykułu, wpadłszy zaraz po łup w linje dolne.

Całe streszczenie jest tak pokręcone, że szkoda na taki preparat cennych szpalt pisma.

P. Winiewicz widocznie nie dopilnował debiutanta. *A. Szyperski.*

W OBRONIE PRAWDY

W ostatnim numerze „Wici" w rubryce „Kronika" wydrukowano korespondencję z Poznania, podpisaną W. F. W końcowym ustępie czytamy, co następuje:

„Na ostatnim czwartku literackim wygłosił odczyt prof. Ułaszyn n. t. „Co to jest język literacki?" W odczycie swoim prelegent określił istotę języka „ogólnomówionego" oraz języka literackiego. W dyskusji, w której zabierali głos por. Skorupiński, Berkan i I. Stein — ten ostatni szeroko omówił powstanie języka literackiego, co zbyt pobieżnie potraktował prelegent".

Z tego wypowiedzenia się wnoszę, że p. W F. na odczycie moim nie był, a jeśli był. to nic nie zrozumiał, albowiem w odczycie moim analizowałem właśnie socjologiczną genezę tj. pochodzenie języka kulturalnego wzgl. literackiego. Ten sam odczyt już wygłaszałem dawniej i właśnie p. t. „Pochodzenie jęz. literackiego". Zmieniłem zaś następnie tytuł dlatego, że przekonałem się, iż ogół błędnie pojmuje termin pochodzenie w zastosowaniu do języka. O niczem więc innem nie mówiłem, jak właśnie tylko o pochodzeniu języka literackiego. Stwierdzam to nie tylko jako prelegent, lecz również jako odpowiadający tym, którzy głos zabierali, a więc i p. wicekuratorowi Steinowi. P. Stein zaś wcale nie mówił o „powstaniu" czy „pochodzeniu" języka literackiego, lecz o wartościowaniu zjawisk językowych, czyli na temat z punktu widzenia naukowego tylko pośrednio wiążącego się z omawianym przezemnie tematem O tem poza mną poświadczyć może sam p Stein, jak też i obecni inni fachowcy: prof. Edward Klich oraz Asystent U P dr. Adam Tomaszewski.

Wobec powyższego mam to wrażenie, że p. W F. sprawozdanie swoje z mego odczytu poprostu „ściągnął" z „Kurjera Poznańskiego". O tem przekonać się bardzo łatwo, zestawiwszy to, co pisze p. W F. z tem, co pisał „Kurjer Poznański" w nr. 559/34. Potwierdzeniem tego wrażenia jest fakt następujący: p. W. F. podaje tytuł mego odczytu w tej samej formie, jaką podał „Kurjer Poznański": „Co to jest język literacki?". Ale takiego tytułu nie użyłem ani ja sam, autor, ani nie było go na oficjanym drukowanym afiszu!

Sądząc, że elementarna uczciwość, wymaga, iż w wypadkach, kiedy się pisze o czemś, czego z autopsji się nie zna, lub czego się nie zrozumiało, a korzysta się od innych, że źródło swych wiadomości się wymienia. Pan W. F. postępowaniem swojem naraził dobre imię „Wici" na szwank: porachunków politycznych w niem się nie załatwia. Henryk Ułaszyn.

* * *

Stanowczo odpieramy zarzut: porachunków politycznych, który krzywdzi p W.F ,człowieka nawskroś apolitycznego. Znamy go, jako naszego wychowawcę szkolnego, od lat wielu. Nie sądzimy również, by jakiemukolwiek pismu wolno było przekręcać złośliwie sprawozdania z życia kulturalnego. Wina leży w tem, że językoznawstwo jest tak mało popularne, iż wykształcony ogół nie orjentuje się poprostu w elementarnych zasadach i w terminologji tej nauki. Winę tego ponoszą szkoły, nie redaktorzy pism politycznych. I w tym wypadku chodzi o typowy lapsus (także w Kurjerze Pozn.) a nie o złą wolę. P. prof. Ułaszyn dobrze wie, że mimo świetnych jego wykładów językowych, nie wszyscy słuchacze w nich zasmakowali, niektórzy odeszli do redakcyj gazet i .. niedouczeni, błędy jako redaktorzy szerzą. I nie wszyscy współpracownicy Wici wykształcenie językoznawcze posiadają. Nie posiadają go także prawie wszyscy członkowie Akademji Literatury!

Prosimy się więc na nas nie gniewać!
Red.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057